

P.S. HERYTIERA  
[PIZGACZ]

START a FIRE

RUNDA  
PIERWSZA

be!  
YA!

 editored

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/startf>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8016-5

Copyright © P.S. Herytiera 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Prolog

*Długo wierzyłam, że wszystko się łoży. Chyba pierwszy raz w życiu tak bardzo mi na czymś zależało. I nie chodziło już o to, że życie bez ciebie nie miałoby żadnego sensu. Po prostu nie chciałam dłużej być egoistką. Myślałam, że po wielu ciężkich i burzliwych chwilach wszystko znów wróci na swoje miejsce.*

*Niestety tak się nie stało. Nie wiem, dlaczego akurat nam się to przydarzyło. Przecież zasługiwaliśmy na szczęście. Każdy na nie zasługuje, więc dlaczego nie my? Wznieciliśmy zbyt duży ogień, którym igraliśmy. Teraz musimy płacić za nasze grzechy.*

*Jesteśmy potępieni i skończymy w piekle. Wiem to, bo wiele razy to powtarzałeś, a ja uparcie to wypierałam. Teraz już wiem, że miałeś rację. Wszyscy pójdziemy do piekła. Szczególnie my.*

*Bo piekło na nas czeka.*

## ROZDZIAŁ 1.

# Cyrograf

Gdy stałam przed brązowymi drzwiami, które prowadziły do najbardziej nienawidzonego przeze mnie pomieszczenia w całym domu, w mojej głowie było tylko jedno, dość często towarzyszące mi pytanie. Pojawiało się ono już w momencie, w którym zaledwie opuszkami palców dotykałam pozłacanej klamki z zamiarem wejścia do środka. *W skali od jednego do dziesięciu — jak bardzo będę chciała powyrywać mojemu bratu z głowy wszystkie włosy wraz z cebulkami?* Życie z nim nauczyło mnie, abym spodziewała się niespodziewanego, bo odpowiedź wynosiła: szesnaście. Codziennie marzyłam, żeby ktoś tam u góry w końcu się nade mną zlitował i zmienił tę liczbę na mocne dwanaście.

— Jeśli nie wstaniesz w ciągu ośmiu sekund, przysięgam, że w końcu cię oskalpuję — warknęłam oschle, gdy zamasyżycie otworzyłam drzwi do jego pokoju, a drewniana płyta z hukiem uderzyła w białą ścianę.

Cisza, którą dostałam w zamian, była dość wymownym sygnałem wskazującym, że moje marzenie było gównem warte.

Każdy człowiek zaczynał swój dzień pewną czynnością. U niektórych był to orzeźwiający prysznic, bez którego nie dało się normalnie funkcjonować. Filiżanka świeżej kawy przy czytaniu najnowszego wydania gazety codziennej albo przy przeglądaniu forów internetowych czy wyjście z psem na spacer. U mnie natomiast taką czynnością było budzenie do szkoły mojego wiecznie spóźnionego brata, który znowu zarwał noc, grając w gry komputerowe. Przez dziewięć miesięcy, od poniedziałku do piątku, codziennie rano musiałam robić za jego prywatny budzik. I nie była to posada, za którą mogłabym zabić.

— Wstawaj, ty cholerny leniu! — powtórzyłam jeszcze bardziej zła.

W pokoju Theo jak zwykle było brudno i ciemno. W powietrzu unosił się dziwny zapach wilgoci i starego jedzenia. Granatowe rolety zasłaniały okna, a na ziemi piętrzyły się sterty książek, płyt, ubrań i jeszcze innych rzeczy, których dla własnego dobra wołałam nie dotykać. Pomiedzy tym wszystkim leżał on. Owinięty w koldrę i rozłożony na całej szerokości materaca nie przejmował się zupełnie niczym. Nawet się nie poruszył, słysząc odgłos uderzenia drzwi o ścianę i mój wrzask. Jego długie, kościste kończyny niedbale zwisały w dół, a nos miał wciśnięty w poduszkę.

— Gdzieś tam są drzwi, przez które weszłaś — burknął cicho, machając dłonią na oślep. — Daj znać, jak już przez nie wyjdiesz.

— Jeśli dziś znów się przez ciebie spóźnię i dostanę karę po zajęciach, pożałujesz tego — zagroziłam, podchodząc do jego łóżka. Mój brat nawet nie zareagował. — Bo pójdziesz na piechotę.

— Z twoją jazdą i tak dotrę przed tobą.

Przewróciłam oczami na sarkastyczny ton jego głosu, który nadal zagłuszała poduszka.

— Dziewczyno, kto ci dał prawo jazdy?

— Ta sama instytucja, która już kilkukrotnie nie dała tobie.

Uśmiechnęłam się perfidnie. Lubiłam wypominać temu kretynowi, że już cztery razy oblał egzamin. Cóż, wiedziałam, że przed nim jeszcze co najmniej drugie tyle, skoro egzaminator powiedział mu, że jest „zagrożeniem drogowym dla całego społeczeństwa”. Nie mogłam się z tym nie zgodzić, gdy po naszym ćwiczeniu parkowania równoległego mama musiała wymienić cały zderzak.

Bez słowa nachyliłam się nad chłopakiem i złapałam za jego brązowe włosy wystające spod poduszki. Były nieco przydługie i kręciły się w delikatne loczki, więc bez problemu wplątałam w nie palce i z niemalą siłą za nie pociągnęłam. Przyniosło to błyskawiczny efekt — chłopak cicho zawył i przeklął pod nosem.

— Jeśli nie wstaniesz w ciągu pięciu sekund, a mama znów ochrzani mnie, że cię nie obudziłam, to możesz być pewny, że każdy w szkole zobaczy twoje nagie zdjęcia z dzieciństwa — mruknęłam. — A dobrze wiemy, że lubiłeś się kąpać.

— To szantaż.

— Zabawne, bo zabrzmiałeś, jakbyś myślał, że mnie to obchodzi.  
— Parsknęłam suchym śmiechem. — Poczekaj, aż dojdę do prawdziwych gróźb.

Z niemałą satysfakcją obserwowałam, jak mój brat wymamrotał coś pod nosem, a następnie uniósł się do siadu w ciągu siedmiu sekund. Zajączał cicho, przecierając zmęczoną twarz. Gdy na mnie spojrzał, jego brązowo-zielone oczy wyrażały jedynie niechęć do mojej osoby. I to właśnie ten widok spowodował, że uśmiechnęłam się od ucha do ucha, ukazując swoje zęby. To jeszcze bardziej go zdenerwowało. Moja groźba była dziecinna, więc mogłam cieszyć się z niej jak dziecko.

— Sprawiasz, że z każdym dniem jeszcze bardziej nienawidzę świata, a poprzeczka jest dość wysoko — rzucił.

— Nie wiem, kogo zabiłam w poprzednim wcieleniu, że teraz muszę tak ciężko pokutować i znosić ciebie — powiedziałam, ostentacyjnie się odwracając. — Ale uwierz, gdybym mogła wybrać rodzeństwo, byłbyś moją ostatnią opcją — dodałam, czując na sobie jego wzrok. Byłam niemal pewna, że właśnie przewracał na mnie oczami. — Masz pięć minut, Theo — zaznaczyłam dobitnie.

Wyszłam z pokoju i zatrasnęłam za sobą drzwi.

Nienawidziłam tego, że to ja musiałam się martwić, byśmy dotarli cało do szkoły. Oczywiście, że mogłabym go zostawić i zmusić do jazdy autobusem. Kilka razy to zrobiłam, ale bardziej obrywało się wtedy mnie niż jemu, bo Theodor był ukochanym synkiem mamusi i nie mógł poruszać się komunikacją miejską. A tak naprawdę był leniwym dupkiem.

Zabrałam z pokoju swoją czarną torebkę i zesłam po schodach na parter. Gdy tylko przekroczyłam próg kuchni, duży nowofundland otarł się o moje nogi, przez co prawie się przewróciłam. W ostatniej chwili złapałam się szafki stojącej obok, przeklinając pod nosem.

— Kot, uważaj! — skarciłam zwierzaka, gdy odzyskałam równowagę. Z westchnięciem spojrzałam na czarnego sześćdziesięciokilogramowego psa, który zamerdał ogonem, ciężko dysząc. — Musiałam użerać się z Theo. Bądź choć trochę mniej niezdolny niż on.

— Spóźnicie się.

Uniosłam wzrok, gdy melodyjny sopran dotarł do moich uszu. Kot, który usiadł tuż przy moich nogach, ziewnął głośno i trącił głową moje

kolano. Nie skupiłam się jednak na nim, tylko na kobiecie, która nawet na mnie nie patrzyła. Siedziała na swoim stałym miejscu przy długim dębowym stole w jadalni. Powoli popijała kawę ze swojej ulubionej beżowej filiżanki, czytając poranną gazetę. Jej niebieskie oczy zza okrągłych szkielek okularów w czarnej oprawie śledziły uważnie tekst. Sięgające łopatek włosy w kolorze popielaty blond upięła w niedbałego koka, z którego wystawało kilka kosmyków.

Uniosłam brew. Wiedziałam, że czuła na sobie moje spojrzenie, jednak nadal ani drgnęła, ze stoickim spokojem przerzucając kolejne strony gazety. W kąciку jej wąskich ust tlił się lekki uśmiech, a cała jej twarz wyrażała rozbawienie.

— To nie moja wina, że ten kretyń nigdy nie umie wstać na czas — rzuciłam na swoją obronę. — Jeśli nadal będzie się tak zachowywał, to naprawdę będzie jeździł autobusem.

— Victorio, on nie może nim jeździć — mruknęła na pozór poważnie, ale w jej tonie słychać było wesołą nutę.

— A to niby dlaczego? — zapytałam butnie, zakładając ręce na piersi.

I właśnie wtedy mama uniosła lekko głowę, a jej przenikliwy wzrok spoczął na mnie. Czasami naprawdę nie znosiłam jej spojrzenia, bo gdy tak patrzyła, wydawało mi się, że wiedziała o wszystkim, co siedziało w mojej głowie. Od zawsze byłam zbyt dumna, dlatego nie poddałam się, wpatrując się w lazurowy odcień jej tęczy. Były śliczne, jak cała ona. Przez kilka sekund trwałyśmy w ciszy. Gdy starałam się zrozumieć, o co może jej chodzić, jej cienkie malinowe wargi wygięły się w lekkim uśmiechu.

— Wiesz, że nawet nie potrafiłby kupić biletu — odparła z lekką kpina, a gdy dotarł do mnie sens jej wypowiedzi, nie mogłam powstrzymać się od cichego parsknięcia. — A gdyby już kupił, miesiąc zajęłoby mu ogarnięcie, na którym przystanku ma wysiąść.

— Jesteś okropną matką, Boże... — Pokręciłam z rozbawieniem głową, rozkładając bezradnie ręce.

Mama z zadowoleniem powróciła do czytanej wcześniej gazety.

— Uczę się od ciebie.

— Takie słowa od samej Joseline Clark, a nie ma jeszcze nawet dziesiątej. — Westchnęłam teatralnie, układając dłoń na piersi. — Potraktuję to jako niebawiały komplement.

— Od zawsze zastanawiam się, po kim odziedziczyłaś ten wredny charakter — bąknęła, na co przewróciłam oczami, włączając ekspres do kawy. — Victorio, to twój brat, więc moglibyście przestać się kłócić — dodała.

— I właśnie dlatego, że jesteśmy rodzeństwem, nasze kłótnie nigdy się nie skończą — zakomunikowałam dosadnie.

— Amen! — Głośny krzyk Theo, który krzątał się po korytarzu na piętrze, rozniósł się echem po całym domu.

Joseline wzniosła oczy, patrząc z uniesionym kącikiem ust na sufit, podczas gdy ja nalewałam kawy do kubka, stukając długimi paznokciami w marmurowy blat.

— Po siedemnastu latach słuchania tych kłótni to stało się naprawdę męczące.

— Cóż, ja ci rodzic tego czegoś nie kazałam. — Złapałam fioletowy kubek w obie dłonie, rzucając jej wymowne spojrzenie. — To tobie zachciało się bliźniaków. Idealnie odnalazłabym się w roli jedynaczki.

I może nigdy nie wypowiedziałabym tych słów na głos, gdyby nie to, że było coś magicznego w tych porankach. Może nie były wyjątkowe i niczym nie różniły się od poranków w milionach innych domów, ale w dziwny sposób lubiłam ten chaos, hałas i małe kłótnie. Lubiłam krótkie pogawędki z mamą, która przed naszym wyjazdem do szkoły wyglądała tak luźno. Przez jej wysoki status społeczny i to, że od kilku lat stała na czele rady miasta, przeważnie musiała prezentować się nienagannie. A ja uwielbiałam widzieć ją w porannym wydaniu. Kiedy z niedbale spiętymi włosami popijała swoją ulubioną kawę w za dużym szlafroku, bez grama makijażu na twarzy i w okularach zamiast szkieł kontaktowych. Gdy była tylko mamą. Nie *panią prawnik pracującą w najlepszej kancelarii w mieście*. Nie *prawą ręką burmistrza miasta*. Nie *szanowaną Joseline Arabellą Clark*. Gdy była *po prostu mamą*.

— Gdybym za każdym razem tak się kłóciła z wujkiem Garrym, to prawdopodobnie dziś już by go z nami nie było. — Westchnęła, wspominając swojego brata.

Odłożyła gazetę na bok, dopijając kawę.

— To ty to urodziłaś, przypominam — mruknęłam, wskazując palcem na piętro, gdzie dalej grzebał się Theo. — To jest irytujące. A ja rzeczy irytujące eliminuję, więc jeśli coś się stanie, to twoja wina.



— Dziękuję za miłe słowa, siostrzyczko — sarknął mój brat, który właśnie zbiegł ze schodów.

Z nonszalancją spojrzałam w jego stronę, nie dbając o to, że właśnie mnie usłyszał. W sumie to mnie ucieszyło.

— Czy mogę wyeliminować twoją twarz, skoro już debatujemy nad rzeczami irytującymi? — dodał.

— Nie jesteś zabawny.

Ubrany był jak zwykle na czarno, co ani trochę mnie nie zdziwiło. Nie dziwiło nikogo, kto choć trochę go znał. Mój brat uwielbiał ten kolor. Nie miałam pojęcia, czy w jego szafie można było znaleźć coś, co nie byłoby czarne, ale szczerze w to wątpiłam, bo zdarzało mi się pożyczać jego ciuchy, a nigdy nie trafiłam na takie znalezisko. Kiedyś, owszem, nosił się nieco inaczej, jednak gdy skończył czternaście lat, jego styl zmienił się diametralnie. Według tezy mojej znenawidzonej ciotki Theodor, tak jak większość nastolatków, musiał przejść ten „mistyczny nastoletni bunt”. To właśnie tym dorośli często usprawiedliwiali nagłe zmiany, jakie zachodziły w młodych osobach. Od zawsze uważałam to za całkowitą głupotę. Nie był to bunt, to było dorastanie i odkrywanie własnych ścieżek, porzucenie tych wskazanych nam przez społeczeństwo i osoby nas wychowujące. U Theodora objawiło się to zmianą stylu ubierania się. I choć nie nosił już gotyckich wzorów jak wtedy, gdy miał piętnaście lat, niektóre rzeczy pozostały z nim na stałe. Czarne głany, czarne bluzy, czarne dresy, czarne swetry, czarne skóry. Nieodłącznym elementem jego garderoby były beanie, z którymi nigdy się nie rozstawał. Miał ich kilka i wiedziałam, że były dla niego cenniejsze niż ja. One również były czarne.

— Swoją mordą odstraszasz dzieci — fuknął.

— Jesteśmy bliźniakami — powiedziałam spokojnie, odstawiając pusty kubek do zlewu. — Obrażając moją urodę, obrażasz również swoją.

I jak wypierałam się wielu rzeczy związanych z moim bratem, tak tego podobieństwa naprawdę nie mogłam. Było widoczne na pierwszy rzut oka. Ta sama oliwkowa karnacja i ten sam czekoladowy kolor włosów. Budowa naszych twarzy też była do siebie zbliżona: mieliśmy te same wystające kości policzkowe, pełne usta i lekko zadarte nosy, choć na jego nosie można było dostrzec kilka drobnych piegów. Ale tym, co było w nas identyczne i nawet nieznanym pozwalało od razu zauważyć,

że jesteśmy spokrewnieni, były duże oczy w brązowo-zielonym kolorze. Szczerze tego nienawidziłam. Na szczęście byliśmy podobni tylko z wyglądu. Charaktery mieliśmy inne — mój brat był stuprocentowym aroganckim i zapatrzonym w siebie idiotą. Ja byłam tylko arogancka i zapatrzona w siebie.

— Jesteś brzydszą wersją mnie, więc nie byłbym tego taki pewny — odgryzł się z pełnym politowania uśmiechem, na co również sztucznie się wyszczerzyłam, mordując go spojrzeniem.

— Całe szczęście, że odziedziczyłam inteligencję. Gdybym mogła, to bym się z tobą podzieliła, bo widzę, że u ciebie z tym ciężko.

— Obawiam się, że gdybyś się podzieliła, nic by ci już nie zostało.

— Wysysasz ze mnie i tak całą energię do życia, więc podołałabym.

— Błagam, wyjdźcie już z tego domu — jęknęła mama, wstając z krzesła i przerywając naszą wymianę zdań.

Zamilkłam, odwracając wzrok od naburmuszonego Theo.

— Przez ostatnie dwa tygodnie nie chodziliście do szkoły, co poskutkowało moim załamaniem nerwowym. Te osiem godzin, gdy was tu nie ma... one są mi naprawdę potrzebne — mówiąc to, mama odwróciła się w stronę zlewu i włożyła do niego filiżankę.

Przez chwilę obserwowałam jej szczupłą sylwetkę, gdy zgrabnymi ruchami szperała w kuchennej szafce. Była dość wysoka i koścista, miała długie, patykowate ręce i nogi, ale to wszystko w dziwny sposób harmonizowało ze sobą.

Spojrzałam na Theo, który uśmiechnął się cynicznie pod nosem i pokazał mi środkowy palec. Przewróciłam oczami, szepcząc pod nosem ciche przekleństwo skierowane w jego stronę. Byłam pewna, że zrozumiał przekaz.

— Zdajecie sobie sprawę, że odbijacie się w okapie?

Ciche pytanie mamy spowodowało, że Theo natychmiast opuścił rękę, a ja zacisnęłam usta w wąską linię. Kobieta westchnęła, ponownie odwracając się w naszą stronę. Posłała nam pełne politowania spojrzenie, zakładając rękę na piersi.

— Wy naprawdę jesteście odklejeni od rzeczywistości.

— A ty nie jesteś przypadkiem naszą matką? — zapytał Theo, marszcząc brwi. — Matki w ogóle mogą tak mówić?

— Tak — odpowiedziała wprost. Czasami zastanawiałam się, czy takie obrażanie nas przez mamę było legalne. — Jeśli nie wyjedziecie teraz, to się spóźnicie, a ja przeżyję kolejne załamanie. W obu kwestiach na przegranej pozycji będziecie wy.

— Tak, już idziemy — stwierdziliśmy z Theo niemalże jednocześnie.

Chwyliłam jabłko z metalowego koszyka, który stał na blacie, i skierowałam się w stronę drzwi wejściowych. Gdy znalazłam się obok mamy, jak zwykle nachyliłam się i pocałowałam ją przelotnie w błądy policzek, który kolorem przypominał śnieg. Odkąd pamiętałam, nie mogłam wyjść z podziwu dla jej porcelanowej karnacji. Moim cichym marzeniem było to, aby wyglądać tak w wieku czterdziestu czterech lat. Żadnej zmarszczki!

W sumie nie powinno mnie to dziwić, zważywszy na ceny kremów, jakich używała.

— Zrobię dziś risotto, więc nie jedzcie na mieście — mruknęła, na co rozszerzyłam oczy i cmoknęłam ją jeszcze trzy razy.

Zaśmiała się cicho, odsuwając lekko głowę.

— Jesteś kobietą mojego życia! — zawołałam.

Mama parsknęła kpiąco, a ja ruszyłam przed siebie w stronę wyjścia. Theo szedł zaraz za mną, a Kot pobiegł przed nami, wesoło szczekając.

Gdy pięć lat wcześniej na dwunaste urodziny dostaliśmy psa, uznaliśmy, że nazwanie go Kotem będzie dobrym pomysłem. Mogliśmy wszystkim mówić, że mamy i psa, i Kota w domu. Cóż, z perspektywy czasu była to bardzo głupia koncepcja.

Westchnęłam, szurając butami o brązowe panele. Podeszwy moich czarnych vansów odbijały się od drewna. Odgłos ten mieszał się z odgłosem niechlujnych kroków mojego brata, powłóczącego nogami w ciężkich glanach. Zerknęłam jeszcze na widoczny z holu salon utrzymany w odcieniach brązu i brązu, nim podeszłam do drzwi.

Lubiłam nasz dom. Nie był największy, ale nie mogłam powiedzieć, że żyliśmy na niskim poziomie. Mama jako prawnik i członek rady miasta zarabiała naprawdę pokaźne sumy. Dwupiętrowy budynek był elegancko urządzony, ponieważ miała wycucie stylu. Wnętrza wykończone w odcieniach brązu, brązu i złota prezentowały się zarazem dostojnie i przytulnie. Dom miał pięć sypialni, obszerną kuchnię połączoną z jadalnią i salonem, trzy łazienki, pralnię z suszarnią, a także

strych i garaż. Jako że ja i Theo mieliśmy wspólną łazienkę, musieliśmy ją dzielić. Często było to powodem kłótni.

Niedbale przeczesalam dłonią swoje długie do połowy pleców włosy, które tego dnia znowu postanowiły żyć własnym życiem. Z niezadowoleniem popatrzyłam na ukryte pod czapką loki mojego brata. Oddałabym wszystko, by moje tak idealnie się kręciły.

— I tak ładniejsza nie będziesz, więc się rusz — mruknął Theo, szturchając mnie łokciem, by otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz.

Nie skąpiłam siły i strzeliłam go po głowie, korzystając z tego, że mieliśmy podobny wzrost. Oboje byliśmy dość wysocy. Mój wzrost oscylował w granicach pięciu stóp i dziewięciu cali. Theo był może o dwa cale wyższy, jednak przez jego kościstą i dość asymetryczną budowę ciała wydawało się, że miał z siedem stóp. Jak mama miał patykowatą sylwetkę i długie kończyny. Do tego za duże czarne ubrania sprawiały, że wydawał się jeszcze chudszy. Budową akurat się różniliśmy, ja byłam nieco pełniejsza. Miałam szerokie biodra, uda i ramiona.

Theo w odwecie uderzył mnie z łokcia w bark. Po krótkiej przepychance posłaliśmy sobie pogardliwe spojrzenia i wyszliśmy z domu. To naprawdę nie było tak, że się nie lubiliśmy. Z zewnątrz mogło się wydawać, że się po prostu nienawidziliśmy i uprzykrzaliśmy sobie życie na każdym kroku, i z grubsza to tak właśnie wyglądało, ale czyż nie tak działała instytucja rodzeństwa? Ile razy słyszałam, jak to cudownie jest mieć brata, który cię wspiera i chroni. Szczerze w to wątpiłam przez moje wieloletnie doświadczenia. Miałam wrażenie, że Theo, gdyby mógł, wepchnąłby mnie pod pociąg. Zresztą z wzajemnością.

Zbiegłam po trzech schodkach ganku i podeszłam do naszego czarnego mercedesa z dwa tysiące szesnastego, w którym już siedział chłopak. Rzuciłam swoją torbę na tylne siedzenie i wsiałam do środka. Culver City w stanie Kalifornia słynęło z tego, że o tej godzinie na ulicach był naprawdę spory ruch. I z tego, że to tu znajdował się dom rodzinny Arnoldów z serialu *Cudowne lata*. Mimo że nie było to duże miasto — liczyło jedynie trzydzieści dziewięć tysięcy mieszkańców — było tu tłoczno i wszędzie kręcili się turyści. Tak, choć tego nie rozumiałam, Culver City było dość popularnym miejscem. Dla mnie było dziurą zabita dechami.

Cała droga do szkoły minęła nam na kłótni o to, kto miał tego dnia sprzątać łazienkę. I nawet mnie to nie dziwiło. Przeważnie kłóciliśmy się o sprzątanie i pielenie ogródka. I o jedzenie. I o dostęp do telewizora w salonie. I o miejsce z przodu, gdy jechaliśmy samochodem z mamą. Cóż, kłóciliśmy się o naprawdę wiele rzeczy. Byłam bardzo uparta, więc przeważnie te kłótnie wygrywałam. Czasami przypominałam osła — Theo zresztą uwielbiał używać w stosunku do mnie tego określenia, tyle że w zupełnie innym znaczeniu. To prawda, nie odpuszczałam. Bywało to irytujące nawet dla mnie samej, ale często duma wygrywała z rozumem. Tak było i tym razem.

Bywałam nie do utemperowania. Albo *nie miał kto tego zrobić*.

Siedem minut przed dzwonkiem parkowałam przed kompleksem budynków tworzących siedzibę Culver High School. To miejsce aktualnie było moją zmurą, wzarło mi się w umysł już tak bardzo, że potrafiłabym narysować je z pamięci. Nie tęskniłam za nim. Wielu ludzi kręciło się na placu przed wejściem, przygotowując się na pierwszą lekcję po feriach wiosennych. Po twarzach uczniów było widać, że powrót do szkolnej rzeczywistości nie był czymś, co ich cieszyło. Nie dziwiło mnie to. Sama jeszcze kilka dni wcześniej wygrzewałam się na słonecznej Dominikanie. Zdążyłam się odzwyczaić od szkolnej codzienności. W końcu w tym roku nasze ferie trwały dwa tygodnie, bo zdołaliśmy przekonać mamę, że warto wylecieć tydzień wcześniej i dłużej pobycć razem.

Theo nawet nie czekał, aż zgaszę silnik. Od razu wysiadł z samochodu i zatrzaskał za sobą drzwi. Bez słowa poszedł w stronę swoich znajomych, którzy stali pod dużym rozłożystym drzewem. Mój brat zaliczał się do tych typowych zdolowanych dzieciaków, które nie widziały sensu egzystencji. Według niego świat był zalany komercją, na każdym kroku dostrzegał korupcję i machlojki rządzących, no i był przekonany, że opracowuje się broń atomową, co miało skończyć się wybuchem trzeciej wojny światowej. A do tego nic mu się nie chciało.

Przygotowując się mentalnie do powrotu do znienawidzonej placówki, również wysiadłam z mercedesa. Westchnęłam, po czym wyciągnęłam swoją torbę, a z niej okulary przeciwsłoneczne. Mieszkaliśmy w pieprzonej Kalifornii — słońce świeciło w tym miejscu częściej i mocniej niż gdziekolwiek indziej. Założyłam je na nos i ruszyłam w stronę wejścia do budynku. Po drodze przywitałam się z kilkoma znajomymi, których

nie widziałam od kilkunastu dni. Nie żebym przesadnie się za nimi stęskniła, ale chcąc nie chcąc, uśmiechałam się, kiwając głową, bo nie miałam czasu na nic więcej.

Kiedy weszłam do środka, a ten znajomy zapach, który panował tylko tam, uderzył w moje nozdrza niczym pocisk z karabinu maszynowego, chciałam wrócić do samochodu, a następnie prosto na Dominikanę, gdzie mili kelnerzy w krótkich szortach podawali mi drinki z palemką. Białe szafki po obu stronach korytarza, ohydne jedzenie na stołówce i Ben Staller w kostiumie piranii, która była szkolną maskotką, były nieodłącznymi elementami Culver High School. To zdecydowanie nie był łatwy powrót.

Gdy zdałam sobie sprawę, że pierwszą lekcję tego dnia miałam z uczącą historii profesor Roth, która cały czas wydzieriała się i marudziła, że mogła wyjechać dwadzieścia lat temu z bogatym Francuzem do Włoch, wizja bycia niewydukuowaną nie wydała mi się taka zła. Szczerze nienawidziłam tej kobiety. Przecisnęłam się przez tłum zaspanych uczniów, aby dostać się w końcu do swojej szafki.

— Co się stało, że nie jesteś spóźniona?

Nawet nie podskoczyłam, gdy usłyszałam obok siebie dobrze mi znany damski głos.

Szybko powstrzymałam cisnący mi się na twarz uśmiech, który pojawił się mimowolnie. Czasami miałam ochotę wyrwać właścicielce tego głosu tchawicę, ale nie dziś — nie słyszałam go na żywo od jakichś czterestu dni. Jedynie przez telefon i Skype’a, bo gdy ja spędzałam swoje ferie wiosenne na Dominikanie, Mia Roberts wykupowała asortyment kolejnych sklepów z ubraniami w Paryżu.

Z niewzruszoną miną pakowałam odpowiednie podręczniki do torby, w ogóle na nią nie patrząc.

— Mój wymęczający mnie psychicznie brat szybciej ułożył swoją grzywkę — mruknęłam.

— Whoa, co za entuzjazm z rana — zaszczebiotała ironicznie, popijając swoją kawę w plastikowym opakowaniu.

Och, Boże. Jak ja za nią tęskniłam.

— I tak jestem zdziwiona — dodała.

— Niby czym? — Zaciekawiona uniosłam brew, w końcu spoglądając na nią kątem oka.

Dziewczyna bez emocji odgarnęła złociste włosy z ramienia.

— Tym, że nie zostawiłaś go na Dominikanie.

I to było to. Kiedy tylko skrzyżowałyśmy ze sobą spojrzenia, na naszych twarzach pojawiły się identyczne uśmiechy. Bez słowa zrzuciłam torbę na podłogę, gdy blondynka rozłożyła ramiona, o mało nie uderzając dłonią jakiegoś biednego pierwszoklasisty. Parsknęłam śmiechem na ten gest i szybko wtuliłam się w jej ciało, wdychając kojący zapach wanilii i gorącej czekolady. Mia Roberts mogła być zdziwą, jakich mało. Tak, czasami miałam ochotę wywieźć ją do lasu i rzucić dzikim zwierzętom na pożarcie, ale przebywanie daleko od niej dłużej niż przez kilka dni było nie do wytrzymania.

— Boże, jesteś jeszcze bardziej opalona niż wcześniej — skomentowała, gdy w końcu się od siebie odsunęłyśmy.

Szybko podniosłam torbę i skończyłam pakowanie, gdy Mia nonszalnie oparła się barkiem o szafkę obok mojej, spoglądając na mój profil.

— Więc jak? Wyrwałaś kogoś na słonecznej Dominikanie?

— Mia, dobrze wiesz, że nie. — Przewróciłam oczami. — Rozmawialiśmy codziennie. Nic ciekawego się nie działo — powiedziałam, na co na jej twarzy pojawił się grymas.

— Meh, a chciałam usłyszeć historię o tobie i gorącym ratowniku, który nauczył cię pływać — mruknęła z przekąsem i zmarszczyła swój mały nosek.

Spojrzałam na nią pobłaźliwie.

— To nie film, Mia. I umiem już pływać — przypomniałam jej, ale machnęła tylko dłonią, a następnie poprawiła srebrny zegarek, który zawsze tkwił na jej lewym nadgarstku.

— Zaakceptowałabym również seksownego barmana.

Na jej słowa parsknęłam śmiechem i pokręciłam głową, zamykając szafkę.

Mia pieprzona Roberts. Mogłam powiedzieć o niej wiele rzeczy i nie wszystkie byłyby pochlebne. Pewnie byłoby w tym trochę obraźliwych słów i ze dwie wiązanki przekleństw. I zapewne dlatego przyjaźniłyśmy się od podstawówki. Od małego chodziłyśmy do tych samych szkół, więc widziałyśmy się praktycznie codziennie. W weekendy również prześiadwałyśmy u siebie. Wyjątkiem były wakacje i ferie, które spędzałyśmy ze swoimi rodzinami zazwyczaj poza Stanami Zjednoczonymi.

Taka przerwa była sporym szokiem i o ile przez pierwsze dni dziękowałam niebiosom, że mogłam się od niej uwolnić, i cały czas wypisywałam jej SMS-y o treści: „Boże, jak dobrze, że cię tu nie ma, nie wrócę do ciebie, żyje mi się cudownie, pa”, o tyle pod koniec dzwoniłam do niej dwa razy częściej, marudząc, że już mi się znudziło i chcę ją zobaczyć. Nie żeby ona nie robiła tak samo.

Cholernie stęskniłam się za jej twarzą, a było za czym tęsknić, bo Mię Roberts mogłam zaliczyć do tej samej kategorii co moją matkę. Była prześliczna. Jej włosy sięgały do ramion. Ścięte na prosto, w odcieniu chłodny blond. Dodawały jej tego uroku, od którego można było się porzygać. Nigdy ich nie wiązała, za to spędzała sporo czasu na ich prostowaniu, bo naturalnie kręciły się w urocze sprężynki, czego nienawidziła. W jej niebieskich oczach widziałam błysk, którego w trudnych chwilach nie cierpiałam. Mia miała bystre spojrzenie, zupełnie jak moja matka. I nie było momentów gorszych od tych, gdy jednocześnie mnie nim taksowały.

Mia była wyższa ode mnie, ale pomimo swojego niemałego wzrostu kochała chodzenie na wysokich koturnach i szerokich obcasach. Ja często miałam obiekcje, by założyć takie buty, bo górowałam w nich nad wieloma przedstawicielami poci przeciwnej. Może było to stereotypowe, ale czułam się wtedy dość niepewnie. Mia nie miała z tym problemu. Widziałam, że niekiedy nawet jej się to podobało. Jej długie nogi i smukła sylwetka sprawiały, że wyglądała jak modelka Victoria's Secret. I zdawała sobie z tego sprawę. Zawsze zwracała na siebie uwagę, bo kochała być w centrum zainteresowania. Ja preferowałam stanie z boku i obserwowanie ze śmiechem tych wszystkich nic niewnoszących do życia dram, które rozgrywały się wokół. Lubiłam patrzeć na głupich ludzi.

Jedno było pewne — Mia była przebojowa. Należała do tych osób, które bez problemu potrafiły podejść do przypadkowego chłopaka i wyciągnąć numer telefonu. Zawsze przewodniczyła grupie, w której się znajdowała. Swoimi słówkami i ekspresją oczarowywała innych, sprawiając, że każdy chciał jej słuchać i być w jej pobliżu. Miała w sobie to gówniane „coś”, co przyciągało ludzi. Lubiła, gdy ją adorowano, i nie grała niewinnej. Nie udawała. Kiedy czegoś chciała, to przeważnie udawało jej się to dostać. Była narcystyczna, zapatrzona w siebie, wygadana, niekiedy



plytka i niesamowicie irytująca, choć kryła w sobie więcej niż to, co pokazywała innym. I nigdy w życiu nie zamieniłabym jej na kogoś innego.

— Boże, Liam cały czas się na ciebie gapi — burknęła zdegowana, wykrzywiając twarz z idealnie nałożonym makijażem.

Uśmiechnęłam się lekko, wzruszając ramionami.

— Jest uroczy — stwierdziłam.

Nie mogąc się powstrzymać, rzuciłam okiem w kierunku, w którym patrzyła Mia. I tak jak się spodziewałam, średniego wzrostu blondyn, który stał kawałek dalej przy swojej szafce, ukradkowo zerkał w moją stronę. Jednak gdy tylko zobaczył, że wyłapałam jego spojrzenie, szybko odwrócił wzrok i z zakłopotaniem zarzucił plecak na ramię, po czym zniknął w tłumie uczniów. Zaśmiałam się cicho na tę słodką reakcję. To był cały Liam Wood. Chłopak, z którym chodziłam na angielski i który często pożyczał mi długopisy. I tak, może mogłam zabrznieć narcystycznie, ale wiedziałam, że mu się podobałam. Naprawdę mi to schlebiało. Był słodki, lekko niezdarny i zawsze pomocny. Poza tym należał do samorządu szkolnego.

— Uroczy? — zapytała z niesmakiem Mia, przerywając mi moje myśli o chłopaku.

Spojrzałam na nią, gdy ta uniosła brew, patrząc z chłodem w niebieskich oczach na miejsce, gdzie zniknął Liam. W takich chwilach Mia przypominała mi Królową Lodu. Z nieskazitelną białą cerą, wąskimi różowymi ustami i arystokratycznymi rysami. Potrafiła być przerażająca.

— Jego twarz przypomina skrzyżowanie falafela z ziemniakiem — dodała.

Nie skomentowałam tego, chociaż jej dobór słów spowodował, że miałam ochotę się uśmiechnąć. Cudem zachowałam powagę.

— Nie przesadzaj — burknęłam. Mia kochała dramatyzować. — Ja też piękna nie jestem, więc nie mam jakichś wygórowanych wymagań — parsknęłam. — Liam jest bardzo miły i fajnie się z nim gada. Jest pomocny i to sprawia, że jest atrakcyjny.

Blondynka przewróciła teatralnie oczami, wyglądając przy tym, jakby słuchała nudnego wykładu. I może tak właśnie było.

— Ale nie jest przystojny.

— To kto według ciebie jest przystojny?! — zapytałam zirytowanym tonem, mając już powoli dość tej wymiany zdań. Czułam się, jakby umierały mi szare komórki.

Mia pomyślała przez chwilę, rozglądając się uważnie po korytarzu. Westchnęłam, zakładając ręce na piersi. Bez większego zainteresowania oglądałam swoje długie paznokcie pomalowane na czarno. Naprawdę nie miałam ochoty znów bawić się w te durne gierki. Do tego dzwonek miał zabrzmieć za mniej niż minutę, a ja naprawdę nie byłam gotowa na lekcję historii.

Spojrzałam na Mię kątem oka, gdy dalej milczała. Byłam zadowolona, bo to oznaczało, że nie udało jej się nikogo wyłapać. Była dość wybredna. Kiedy już myślałam, że wygrałam i zakończymy ten głupi spektakl, jej wzrok się zatrzymał, oczy lekko załśniły, a usta wykrzywiły się w uśmiechu zadowolenia godnym samego Garfielda. Zagryzła dolną wargę, świecąc białymi równymi ząbkami.

— On — mruknęła cicho, patrząc gdzieś za mnie.

Z niechęcią odwróciłam się, aby spojrzeć na osobę, którą wybrała Roberts. Osobę, która właśnie weszła przez główne drzwi.

Oczywiście.

Szedł powolnym krokiem po korytarzu. Choć nikt nie robił tego ostentacyjnie, większość ludzi posyłała mu pełne napięcia spojrzenia. Powodem była sytuacja, jaka miała miejsce ponad miesiąc wcześniej. Został zawieszony na dwa tygodnie przed feriami i przez to nikt nie widział go w szkole przez prawie trzydzieści dni. Nic dziwnego, że powrót chłopaka wzbudził niemałą sensację. Nie żeby wcześniej przychodził regularnie.

Jak zwykle był sam. Nie byłam zaskoczona, bo nie trzymał się z nikim z Culver High School. Miał tych swoich podejrzanych znajomych, którzy byli starsi od nas. Większość uczniów schodziła mu z drogi przez negatywne emocje, jakie wzbudzał. Mogłam śmiało stwierdzić, że był postrachem naszego liceum i nikt nie chciał z nim zadzierać.

Chłopak był ubrany w czarne jeansy, takiego samego koloru koszulkę i skórzaną kurtkę. Nie miał plecaka ani torby. W dużej dłoni trzymał telefon. Jego gęste brązowe włosy były lekko rozczochrane, a na nosie miał przeciwsłoneczne okulary, chociaż był w pomieszczeniu. Było to niesamowicie głupie, ale sprawiało, że wydawał się dziwnie atrakcyjny.

I chociaż wiedziałam, że prędzej polknę język, niż powiem to na głos, skłamałabym, twierdząc, że nie był przystojny. Był. Cholernie. I zapewne dlatego kilka dziewczyn i paru chłopców przyglądało mu się maślanymi oczami.

— To jest właśnie to, Vic — rzuciła z zadowoleniem Mia, przez co potrząsnęłam głową, wracając do rzeczywistości. Moja przyjaciółka nadal obserwowała chłopaka z tym swoim cwany uśmiechem. — W końcu wrócił. Gdy go zawiesili, nie miałam już na kogo patrzeć.

— Tak, ale raczej sobie odpuszczę — przyznałam, drapiąc się po karku. Nie to, że miałam jakiejkolwiek szanse. — I ty też powinnaś. Każdy, kto ma mózg, powinien.

— To Parker — westchnęła, odbijając się od szafki. — Nawet jeśli chce się go opuścić, to po prostu nie można.

Wiedziałam, że Mii podobał się Luke Mitchell, którego z niewiadomych przyczyn każdy nazywał Parkerem. Komu by się nie podobał? Wysoki, barczysty, przystojny chłopak o czekoladowo-złoty oczach i orzechowych włosach. Chodził do czwartej klasy, chociaż powinien był skończyć liceum rok wcześniej. Niestety za bójki i wagarowanie musiał powtórzyć ostatnią klasę. Tajemniczy chłopak z ostatniej ławki, z powalającym uśmiechem i niebezpiecznymi znajomymi. Pięknie brzmiało, ale w rzeczywistości było trochę inaczej. To nie był film, a każdy normalny człowiek wiedział, że od takich ludzi powinno się trzymać z daleka.

— To chłopak, z którym lepiej się nie kolegować — mruknęłam, gdy rozbrzmiał dzwonek, który informował o rozpoczęciu się pierwszej lekcji.

Z jękiem skierowałyśmy się w stronę odpowiedniej sali. Mia popatrzyła na mnie spođe łba.

— Ty też wierzysz w plotki? — zapytała, prychnąwszy pod nosem. — Raczej ciebie bym o to nie posądziła.

— Tu nie chodzi o plotki, Mia. Dobrze wiesz, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Od takich jak najdalej — stwierdziłam. — Ma zatargi z policją, a do tego obraca się w nieciekawym towarzystwie.

Mia westchnęła, ale posłusznie skinęła głową. Wiedziała, że miałam rację. Bo wygląd i prezencja to nie wszystko. Mogłyśmy zachwycać się urodą Parkera, ale to nie zmieniało faktu, że chłopak był, jaki był, i pochodził, skąd pochodził. Z ludźmi jego pokroju dla własnego bezpieczeństwa

po prostu nie warto było się zadawać. Zresztą tacy jak on również nie byli skorzy do kumplowania się z nami. I tu nie chodziło o to, że bardzo się różniliśmy. Tak po prostu było. Wszyscy wiedzieli, że Parker nie trawił tego liceum i ludzi do niego uczęszczających, którzy w większości pochodzili z dobrze sytuowanych domów, a ich rodzice mieli coś wspólnego ze służbami specjalnymi czy z polityką. Mia też zdawała sobie z tego sprawę. Mogła sobie marzyć o gorącym romansie z tym niebezpiecznym chłopakiem, ale nadal była córką jednego z najlepszych lekarzy w tym mieście, który co sobotę chodził na golfa z burmistrzem.

W końcu weszłyśmy do sali, za którą w ogóle nie tęskniłam. Zajęłyśmy swoje standardowe miejsca. Po chwili weszła nauczycielka w długiej brązowej spódnicy, białej koszuli i czarnym żakiecie. Jej tlenione włosy były ulizane w wysokim koku, a na nosie miała te swoje okulary, których szkła przypominały denka słoików.

— Moja ulubiona klasa znów w komplecie po feriach wiosennych — sarknęła, siadając na krześle. — Z naszą ukochaną Victorią Clark na czele — dodała z zadowoleniem, spoglądając prosto w moje oczy.

Profesor Roth nienawidziła mnie, od kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg sali historycznej. Nie miałam pojęcia dlaczego. W sumie mogło mieć to związek z niezbyt miłym napisem na ławce, który wyryłam w pierwszej klasie po pierwszym F z odpowiedzi. Cóż, może i „Leję na ciebie ciepłym moczem, bezuczuciowa suko” nie było szczytem poezji współczesnej, ale skłamałabym, mówiąc, że to dziecinne zagranie mnie nie cieszyło. Nie ucieszyła mnie natomiast nagana, jaką za to dostałam, ale niczego nie żałowałam.

— My nigdy nie opuszczamy historii, pani profesor — odezwał się pochlebnie Jason, który był klasowym lizodupcem. — Szczególnie ja.

— Ale opuszczasz wizyty u fryzjera — mruknął ktoś obok mnie, przez co uśmiechnęłam się pod nosem.

— Skończ już się podlizywać, Hillary — burknęła nauczycielka. — Jest kwiecień, a to oznacza, że zostały nam trzy miesiące szkoły. Po wakacjach ostatnia klasa i egzaminy, więc bierzemy się do roboty.

Brutalny powrót do rzeczywistości.

Przez następne pięćdziesiąt minut gryzłam swój długopis, mazałam po okładce zeszytu, z którego i tak powypadała już większość kartek, i odliczałam czas do końca tej cholernej lekcji. Z ulgą w końcu wyszłam

z sali i stanęłam na zatłoczonym korytarzu. Mia zniknęła mi z oczu jakiś czas wcześniej, a ja musiałam dostać się do swojej szafki. Gdy już tam dotarłam, nie zdążyłam nawet wykręcić kodu, a wątle ramiona mocno mnie objęły. Z niedźwiedzią siłą zostałam przyciągnięta do męskiego torsu, przez co prawie straciłam równowagę. W ostatniej chwili ominęło mnie spotkanie z podłogą.

— Przeprowadź na mnie zamach po piątej lekcji, bo dziś są frytki na stołówce — zaproponowałam zrezygnowana, bo przez to, że żyłam wśród nadpobudliwych ludzi, mało było rzeczy, które rzeczywiście mogły mnie przestraszyć.

Wyplątałam swoje ramiona i otworzyłam szafkę, po czym włożyłam tam torebkę. Chłopak cały czas się do mnie przytulał, miażdżąc mi płuca. Znajomy zapach lasu dotarł do moich nozdrzy. Naprawdę się za tym stęskniłam. Za tym i za bijącym od niego ciepłem.

— Wybierasz krzesło elektryczne czy tradycyjny sznur? — zapytał, w końcu mnie puszczając.

Spokojnie odwróciłam się w jego stronę, by spojrzeć w wesołe piwne tęczęwki.

— Tylko na tyle cię stać? — zapytałam, unosząc wyzywająco brew.

Brunet zamyślił się na chwilę, przejeżdżając długimi palcami po gęstych loczkach na głowie.

— Coś ostatnio słabo u mnie z pomysłami — fuknął, przybierając dramatyczną postawę. Był w tym mistrzem. — Chyba się starzeję.

— Masz siedemnaście lat. Powoli szykuj trumnę — zakpiłam, na co zmarszczył nos, mrużąc na mnie oczy.

Zaśmiałam się cicho i nachyliłam się w jego stronę, składając delikatnego całusa na jego pulchnych wargach, co lekko go udobruchało. Na jego pięknej twarzy znów załśnił uśmiech. I to właśnie z tego uśmiechu był znany. Chris Adams był niewątpliwie chodzącym workiem pełnym chichotów, głupich pomysłów i dramatyzmu. I naprawdę mi tego brakowało. Popatrzył na mnie, wyprężył się lekko i z zawadiackim uśmiechem oparł plecami o szafki obok, wkładając dłonie do kieszeni obcisłych jeansów.

— Nie można mnie winić — mruknął. — Duszą dalej jestem na plaży i obserwuję gorących kelnerów. I kelnerki.

— Jak było na Ibizie? — zapytałam, chociaż i tak większość wiedziałam.

Tak jak w przypadku Mii, rozmawiałam z nim codziennie i często gawędziliśmy całą trójką. W końcu Chris Adams był muszkietierem numer trzy i moim cudownym przyjacielem od czasów przedszkolnych. Ten kościsty dryblas, który zawsze chodził w markowych ubraniach, jeździł najnowszym modelem jaguara i którego uroczymi loczkami co miesiąc zajmował się fryzjer śpiewający sobie trzy stowy za godzinę, był zdecydowanie promyczkiem rozświetlającym nasze nudne, szare dni. Nie wiedziałam, czy w całym Culver City był ktoś, kto byłby chociaż odrobinę do niego podobny.

Chris tryskał pewnością siebie i charyzmą. Zapewne nie bez znaczenia było, że jego nazwisko plasowało się wysoko na liście najbogatszych rodzin w Kalifornii, a jego matka była ikoną w świecie mody, przez co chłopak kąpał się w pieniądzach. Ale najbardziej uwielbiałam w nim to, że chociaż mógłby kupić sobie na własność jakąś pieprzoną wyspę, on się tym głównem nie przejmował. Był po prostu Chrisem Adamsem. Człowiekiem, który łączył ciuchy marki Gucci z butami Adidas, urządzał najlepsze imprezy w całej szkole i posiadał wszystkie albumy NSYNC.

— Gorąco. I klubowo — odparł z zadowoleniem.

Popatrzyłam na niego z małym uśmiechem.

— Jedne z lepszych ferii, jakie miałem — dodał. — Słyszałaś, że Parker wrócił?

— Yup — mruknęłam niezbyt zainteresowana. — Mia już zdążyła mi wyrecytować litanię o tym, jak bardzo jest przystojny.

— Bo jest. — Chris prychnął, jakbyśmy rozmawiali o czymś całkowicie oczywistym.

Założył ręce na piersi, patrząc na innych uczniów, którzy ze zmęczeniem przechadzali się po korytarzu z oczami wbitymi w ekrany telefonów.

— Czy każdy musi to powtarzać? — zapytałam z rozdrażnieniem, szukając jakiegoś nieprzeterminowanego napoju wśród małych butelek, które stały w mojej szafce.

— Wewnętrznie krzyczę, gdy go widzę, okej? To odruch bezwarunkowy.

— A przypadkiem nie wolisz rudych? — zapytałam nonszalancko.

Chłopak niezbyt się tym przejął. Wzruszył ramionami i poprawił kołnierzyk swojej koszuli Lacoste.

— Dla niego mogę zmienić priorytety. — Uśmiechnął się z zadowoleniem, co spowodowało, że i ja uniosłam kącik ust, kręcąc z politowaniem głową. — Ale moje marzenie jest prawdopodobnie w stu procentach hetero.

— A mnie to nie obchodzi — bąknęłam. — Jest! — rzuciłam z satysfakcją, odnajdując nieotwartą puszkę jakiegoś energetyka. Z ulgą upiłam łyk.

— Nieważne. Lepiej mi powiedz... — zaczęłam, jednak nie dane mi było skończyć, bo w tym samym czasie rozbrzmiał inny głos.

— Proszę, pomóż mi.

Zmarszczyłam brwi i odwróciłam głowę w stronę Theo, który właśnie podszedł do nas, poprawiając plecak na ramieniu i układając ręce w błagalnym geście. Patrzył prosto na moją twarz, a jego oczy wyglądały jak u bezdomnego szczeniaka, który błagał o to, aby ktoś go w końcu nakarmił. Beanie zsunęła się lekko z jego głowy, przez co wyglądał jeszcze bardziej mizernie. Jednak to nadal był mój brat, więc z niewzruszoną miną przełknęłam łyk napoju, patrząc na niego jak na natrętą muchę.

— Spierdalaj — odpowiedziałam zimnym tonem, po czym odwróciłam się w stronę rozbawionego Chrisa, który wciąż opierał się o szafki. — Co mówisz? — zapytałam, ignorując Theodora.

— Vic, to sprawa życia i śmierci. — Chłopak znów się wtrącił, łapiąc mnie za ramię i szybko odwracając w swoją stronę, przez co prawie wylałam swojego energetyka.

Fuknęłam pod nosem, balansując z puszką, po czym zmrużyłam złowrogo oczy.

— Czego chcesz?

— Pożycz mi samochód — poprosił na wydechu.

Przez chwilę po prostu na niego patrzyłam, mając nadzieję, że był to jedynie kiepski żart. Chciałam dać mu chwilę na to, aby się ogarnął, jednak on nadal patrzył na mnie z zabijającą powagą. Nie minęła chwila i wybuchnęłam chamskim śmiechem.

— Nie ma szans. — Pokręciłam głową.

Znów zamierałam odwrócić się do Chrisa, ponieważ uważałam tę rozmowę za skończoną, ale Theo nadal mi nie pozwalał.

— Vic, proszę — zaskomlał jak ranny piesek, łapiąc mnie za ramiona.

Musiałam pewnie chwycić puszkę, by nic się z niej nie wylało, gdy mną potrząsnął. — Za piętnaście minut otwierają bibliotekę publiczną i będzie tam sam Daniel Abraham, który będzie podpisywał swoją nową książkę. Muszę tam być. Na piechotę nie zdążę.

— To pojedź sobie rowerem.

— Vic, proszę cię. Nigdy tego nie robię, więc teraz się zgódź. Wiesz, że umiem jeździć, tylko zawsze oblewam teorię. Zrobię, co zechcesz! — błagał, dalej patrząc na mnie tym szczenięcym spojrzeniem. I z każdą kolejną chwilą ten cholerny wzrok był coraz bardziej przekonujący.

Nienawidziłam tego w naszej relacji. Niemal zawsze się kłóciliśmy, biliśmy i wyzywaliśmy, ale było w nas coś, co sprawiało, że gdy jedna ze stron bardzo czegoś potrzebowała, druga się na to godziła. Nawet gdy tego nie chciała. Nawet gdy mogły być z tego poważne kłopoty. Nie miałam pojęcia, czy było to jakieś cholerstwo między bliźniakami, ale nie za bardzo mi to pasowało. Theo nieraz miał problemy przez to, że wymykałam się nocami na imprezy, a on mnie krył. Dlatego wiedziałam, że nie dam rady mu odmówić.

— Przez miesiąc sprzątasz mój pokój, zmywasz naczynia i wynosisz śmieci, a jak mama się o tym dowie, to masz wpierdol, jasne? — zapytałam poważnie, wyjmując kluczyki z kieszeni czerwonej bluzy z kapturem. Nie minęła sekunda, a już znajdowały się w dłoni mojego brata.

— Boże, kocham cię! — zawołał z radością, przez co kilka najbliższych stojących osób posłało nam zdziwione spojrzenia.

Z uśmiechem, który nie występował na jego twarzy często, Theo złapał mnie za głowę i złożył buziaka na moim czole. Skrzywiłam się z niesmakiem, gdy biegiem ruszył w stronę drzwi.

— Och, kocham waszą miłość — zironizował przesłodzonym głosikiem Chris, śmiejąc się pod nosem. — Prawdziwa relacja siostry z bratem.

— Tak. — Mlasnęłam z niesmakiem. — Bardzo prawdziwa.

Reszta lekcji minęła w miarę spokojnie. W szkole był tylko jeden gorący temat, który nie schodził z języków prawie wszystkich uczniów. Każdy gadał tylko o tym, że Mitchell wrócił do szkoły. Oczywiście, że była to okazja do plotkowania, bo przypomnieliśmy sobie sytuację sprzed ponad miesiąca, kiedy to Parker tak mocno pobił jakiegoś gościa z drugiej klasy, że ten wylądował w szpitalu. Z tego, co wiedziałam, miało odbyć się jakieś postępowanie karne w tej sprawie. Nawet na stołówce, gdzie siedziałam przy stoliku otoczona moimi znajomymi, każdy paplał tylko o tym. A ja miałam tego serdecznie dość. Bo po co zawracać sobie głowę kimś takim?

Poza tym ja sama miałam poważniejsze zmartwienie. Od początku ostatniej lekcji starałam się dodzwonić do mojego brata, który nie wrócił



jeszcze do szkoły. Cały czas olewał moje połączenia, a ja myślałam, że wybuchnę, gdy po skończonych zajęciach wyszłam z sali i odczytałam wiadomość, że jest na jakimś spotkaniu dla fanów książek tego całego Daniela i że nie da rady odstawić mojego samochodu na czas. *Po prostu, kurwa, świetnie.*

Zirytowana otworzyłam swoją szafkę, po tym jak przez piętnaście minut wydzwaniałam do Theo, aż wyłączył telefon. Byłam wściekła. Ostatnia lekcja skończyła się kilkadziesiąt minut wcześniej, a większa część uczniów opuściła już teren szkoły. Na korytarzu w prawym skrzydle stałam tylko ja. Mia, jak zwykle, urwała się razem z Chrisem z biologii godzinę wcześniej, a ja musiałam tam siedzieć do wpół do czwartej. Do domu miałam pięć mil, więc jeśli miało mi się udać, to tak. Doszłabym tam w czwartek na wieczór! I jak na złość nie miałam nawet kasy na taksówkę, a większości moich znajomych nie było już w szkole. Mama była w pracy, zresztą i tak nie mogłam do niej zadzwonić, bo jak wytłumaczyłabym jej brak samochodu?

— Świetnie — burknęłam, gdy przez przypadek jeden z zeszytów wypadł mi z torebki na podłogę. Kilkanaście wetkniętych w niego kartek rozsypało się wokół. Warknęłam, wznosząc oczy ku niebu i zaciskając dłonie w pięści.

Kucnęłam zła i zaczęłam je zbierać. Moje życie było pasmem niepowodzeń nawet w tak nieważnych i mało istotnych kwestiach. Ja nie wiedziałam, czy to było zapisane w genach, ale miałam już dość.

Zmarszczyłam brwi, kiedy nagle zobaczyłam czarne glany, których właściciel zatrzymał się naprzeciw mnie. Ze zdziwieniem spostrzegłam, jak ta osoba kuca, a następnie zaczyna zbierać kartki. Zdezorientowana patrzyłam na długie palce, które sprawnie podnosiły kolejne kawałki papieru. Kilka srebrnych obrączek odznaczało się na opalonej skórze. Przelknęłam ślinę, po czym niepewnie uniosłam wzrok i zaniemówiłam, widząc Luke'a Mitchella, który nic nie mówił, tylko po prostu mi pomagał. *Co do...*

Skarciłam się w myślach, kiedy zdałam sobie sprawę, że mu się przyglądałam. Szybko się ogarnęłam. Musiałam wyglądać jak kretyńka. Starając się zignorować dziwne uczucie w moim brzuchu, pozbierałam pozostałe notatki i wyprostowałam się. On również. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, więc z niewzruszoną miną zacisnęłam palce na zeszyście.

— Masz — powiedział nagle, wręczając mi plik wydrukowanych kartek.

Jego głos był niski, ale dziwnie przyjemny dla ucha. Miał w sobie specyficzną wesołą nutę, co zupełnie nie pasowało do jego osoby.

— Dzięki — mruknęłam, odbierając od niego swoje rzeczy i wsadzając je niechlujnie z powrotem do torby. Czułam na dłoniach jego wzrok, gdy szybko się zbierałam.

— Jesteś Victoria Clark — powiedział nagle, co lekko wytrąciło mnie z rytmu i sprawiło, że ze zdziwieniem uniosłam głowę, nawiązując z nim kontakt wzrokowy.

Z bliska spojrzenie czekoladowo-złoty tęczówek było jeszcze bardziej intensywne. Cóż, może zawsze takie było, jednak to był pierwszy raz, gdy staliśmy tak blisko. Ba! To była nasza pierwsza interakcja. Przez trzy lata mojego uczęszczania do tego liceum ani razu nawet na mnie nie spojrzał. Nic dziwnego, że czułam się lekko niezręcznie z tym, jak uważnie mi się przyglądał. Poza tym byłam przekonana, że nie wiedział o moim istnieniu. No bo skąd? Dobra, może moje nazwisko nie było przypadkowe przez wzgląd na mamę. W naszej szkole znało mnie sporo osób, również dlatego, że przyjaźniłam się z Adamsem. Jednak Luke nie wyglądał na takiego, co słuchał licealnych ploteczek.

— Tak. — Kiwnęłam głową.

W jego oczach tliło się coś dziwnego. Coś, co zdradzało, jak poważnie się nad czymś wahał.

— A ty jesteś Luke Mitchell — dodałam.

— Parker — poprawił mnie.

Kiwnęłam głową.

— Cóż, Parker. Dziękuję za pomoc — mruknęłam, czując się jeszcze bardziej niezręcznie. *Co, do kurwy? Czy ja właśnie z nim rozmawiałam?*

— Skoro już wiemy, jak się nazywamy, to chyba czas się pożegnać.

— Też tak sądzę. Cześć — powiedziałam, jak najszybciej zamykając szafkę. Nawet na niego nie spojrzałam, gdy szybkim krokiem odeszłam, kierując się do wyjścia ze szkoły.

Okej, to była chyba jedna z najgłupszych i najbardziej bezsensownych rozmów, jakie kiedykolwiek przeprowadziłam. Nie równała się nawet z gadaniem z Chrisem, gdy ten opowiadał mi swoje sny erotyczne.

Dopiero kiedy wyszłam na zewnątrz, zdałam sobie sprawę, że moje mięśnie były spięte. To Luke tak na mnie działał. Nie lubiłam go, a jego zła sława wcale nie ułatwiała sprawy. Odetchnęłam cicho, ruszając w stronę przystanku autobusowego. Nie miałam pieniędzy, bateria w moim telefonie była na wyczerpaniu, a na dodatek zrobiło się cholernie zimno, więc może ten bilet miesięczny wepchnięty do portfela na wszelki wypadek mógł pomóc. Przystanek był zaraz za rogiem i po chwili już tam byłam. Spojrzałam na rozkład jazdy i jęknęłam cicho pod nosem, widząc, że następny autobus miał być dopiero za czterdzieści sześć minut.

— Kolejny dzień z życia Victorii Clark — mruknęłam, siadając na ławce, która stała obok. Spuściłam głowę i chwilę tak siedziałam, aż poczułam pierwsze krople deszczu, które zaczęły moczyć moje czarne jeansy. — No, kurwa, jeszcze piorunem strzel! — krzyknęłam, patrząc w granatowe niebo.

Policzyłam w myślach do dziesięciu, aby choć trochę się uspokoić, i gdy już to zrobiłam, ponownie odwróciłam głowę, a mój wzrok niemal od razu spotkał się ze wzrokiem starszej pani po drugiej stronie ulicy, która patrzyła na mnie widocznie zdezorientowana. Przez chwilę tylko na nią spoglądałam, powoli mrugając.

— Przepraszam — powiedziałam w końcu na tyle głośno, aby mnie usłyszała, i odchrząknęłam zmieszana.

Staruszka jedynie wzruszyła ramionami i z różową parasolką podrep-tała w stronę centrum.

Zarzuciłam kaptur bluzy na głowę. Nie pozostało mi nic innego prócz czekania na ten cholerny autobus. Jeszcze nie wiedziałam, czy będę chciała, by podwiózł mnie do domu, czy po prostu przejechał. Co gorsza, zaczynało padać coraz mocniej, tak że nabrałam ochoty, by wskoczyć pod nadjeżdżające ładne audi.

Samochód, ku mojemu zdziwieniu, zaczął zwalniać obok przystanku, na którym czekałam. Kiedy stanął tuż przy mnie, przyciemniana szyba powoli opadła. Z konsternacją obserwowałam to, co się działo, a moje zdziwienie przerodziło się w szok, gdy dostrzegłam w środku auta nikogo innego jak Parkera. Parkera, który patrzył na mnie z uniesionymi brwiami.

— Nie wiem, czy wiesz, ale pada — powiedział bardzo inteligentnie, przez co chciałam przewrócić oczami, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

— Zauważyłam — burknęłam cicho, mając nadzieję, że chłopak zaraz sobie pojedzie. Może go nie znałam, ale naprawdę za nim nie przepadałam.

— Nie wiem, podwieźć cię? — zaproponował jakby od niechcenia, przez co mój żołądek ścisnął się w małą kulkę.

Przełknęłam ślinę. Miałam gdzieś jechać z Lukiem Mitchellem? Niesławny Parker miał mnie podwieźć do domu? Nie miałam pojęcia, czy właśnie byłam w ukrytej kamerze, czy po prostu chłopak sobie ze mnie żartował. Do ostatniej chwili byłam przekonana, że po tej propozycji wybuchnie głośnym śmiechem i odjedzie. Jednak, o dziwo, on nadal tam stał. I patrzył na mnie ponaglająco.

— Nie, dzięki. Poczekam — odmówiłam, starając się brzmieć pewnie.

Nie moja wina, że jego obecność wywoływała we mnie dziwnego rodzaju strach, chociaż tak naprawdę nigdy nic mi nie zrobił. Jednak to nie zmieniało faktu, że mógł.

— Przecież cię nie zabiję — mruknął, przewracając oczami, jakby rozmawiał z tępyim dzieckiem. — Ani nigdzie nie wywożę.

— Wolę tego nie sprawdzać — bąknęłam pod nosem.

Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam, rozszerzyłam oczy i popatrzyłam na twarz chłopaka, oczekując wybuchu gniewu z jego strony. Spodziewałam się, że odjedzie i zostawi mnie na tym cholernym deszczu. Jakie było moje zdziwienie, kiedy chłopak pokręcił ciężko głową i — mogłabym przysiąc — lekki uśmiech zatlił się w kąciku jego ust. Rozbawiłam samego Parkera. Ten dzień nie mógłby być dziwniejszy.

— Jesteś uparta — mruknął i naprawdę zaskoczyło mnie to, jak bardzo na to nalegał.

Każdy poddałby się już dawno, szczególnie że nie byliśmy dla siebie nikim szczególnym. Ba! Właśnie rozmawialiśmy ze sobą drugi raz.

— Mama ci nie mówiła, że nie wsiada się do auta z nieznajomymi? — zapytałam, pociągając nosem. Było mi już naprawdę zimno, więc wcisnęłam ręce głębiej do kieszeni bluzy, ale na niewiele się to zdało.

— Nie jesteśmy nieznajomymi — rzucił nieco głośniejszy, bo deszcz zagłuszał nasze głosy. — Wiesz, jak mam na imię. Ja wiem, jak masz ty. To czyni nas znajomymi.

— Tak, możemy razem obrabować bank — sarknęłam, spoglądając w ciemne niebo. — Słuchaj, dzięki za propozycję, ale naprawdę nie trzeba. — Ledwo dokończyłam to zdanie, gdy nagle rozległ się głośny grzmot, a ja z przestachem podskoczyłam na ławce.

— Wsiadaj do tego cholernego samochodu — warknął w końcu, a po dziwnie miłym Luke’u sprzed sekundy nie było już śladu. Teraz patrzył na mnie zdenerwowany, a coś w jego oczach mówiło, że najchętniej by mnie tam zostawił.

Cholera jasna.

Bez namysłu podniosłam się z ławki, zabierając swoją torbę. Szybko podeszłam do auta i wsiadłam na miejsce pasażera, po czym zamknęłam za sobą drzwi. Od razu uderzyło we mnie ciepło, z czego cholernie się cieszyłam, bo moje palce zaczynały drętwieć. I kiedy tak siedziałam, cicho oddychając i patrząc przez przednią szybę, zdałam sobie sprawę, co ja najlepszego narobiłam. Przełknęłam ślinę i powoli odwróciłam głowę w stronę Luke’a, który z obojętną miną zasunął szybę, nawet na mnie nie patrząc.

— Podaj adres — mruknął cicho.

Zrobiłam to, co kazał, po czym zapanowała między nami cisza. Zaczął jechać, a ja ściągnęłam z głowy kaptur i przesunęłam palcami po wilgotnych włosach.

Odetchnęłam, kątem oka spoglądając na chłopaka obok. Ta sytuacja była tak abstrakcyjna, że nie mogłam się powstrzymać. Czy ja właśnie jechałam w jednym samochodzie z Lukiem Parkerem Mitchellem? O mój Boże, byłam taką idiotką. W tamtej chwili pozostało mi się jedynie modlić, abyśmy szybko dojechali, by nic się po drodze nie stało i żebyśmy się rozstali i już nigdy na siebie nie wpadli.

Niezręczną ciszę przerywała tylko piosenka *Welcome To The Jungle* Guns N’ Roses, którą bardzo lubiłam. Cicho pobrzmiwała z głośników auta. Prawie bezszelestnie wystukiwałam rytm palcami na swoim kolanie, wgapiając się w krajobraz za oknem.

— Fanka hard rocka? — zapytał z lekkim przekąsem chłopak, na co lekko się wzdrygnęłam.

Popatrzyłam na jego profil, gdy wpatrywał się ze skupieniem w ulicę.

— Powiedzmy — odparłam niewzruszona. — To klasyk. Każdy zna.

— Wyglądasz raczej na kogoś, kto słucha mainstreamowego gówna — mruknął, na co uniosłam brew.

Czy on właśnie starał się mnie obrazić?

— Cóż, tego też słucham, dla twojej wiadomości — odpowiedziałam nieco burkliwie. — To nie tak, że trzeba zatrzymać się tylko na jednym. I w mainstreamie można znaleźć coś dobrego.

— Nie sędzę — odrzekł, na co parsknęłam pod nosem suchym śmiechem.

Popatrzyłam na niego z frustracją. Kącik jego ust był lekko uniesiony. To było dziwne. Widzieć go w takim stanie. W szkole wyglądał, jakby chciał wymordować połowę populacji.

— Nie rozumiem ludzi, którzy tego słuchają. To nie jest dobre — dodał.

— Nie jest dobre, w aspekcie jakiegokolwiek sztuki, bycie bucem, który uważa, że tylko on ma rację i wszystko, co popularne, jest złe — wycodziłam przez zęby, nawet nie zastanawiając się nad swoimi słowami. — Nawet jeśli ci się nie podoba, to nie generalizuj — warknęłam ostrzej, niż miałam zamiar.

Przełknęłam ślinę, czekając, aż w końcu na mnie nawrzeszczy i każe wysiąść z auta czy coś w tym rodzaju. Ale życie znów mnie zdziwiło, bo zamiast tego jedynie uśmiechnął się krzywo i pokiwał delikatnie głową, zastanawiając się nad czymś. Na jego twarzy nadal malowało się dziwne rozbawienie i to było tak bardzo do niego niepodobne. Nie to ukazywał na co dzień.

— Jesteś wygadana — stwierdził cicho.

Założyłam ręce na piersi i wcisnęłam się w fotel, obserwując widoki za oknem. Nie miałam zamiaru z nim więcej rozmawiać.

— To cię zgubi.

Przewróciłam oczami, powstrzymując się od prychnięcia. Tak, byłam wygadana, gdy ktoś pieprzył głupoty i zachowywał się tak... wyniośle. To było frustrujące. Jednak gdybym wtedy wiedziała więcej, prawdopodobnie bym się zamknęła. Przynajmniej Luke nie miałby racji.

Kolejne chwile miały nam w ciszy, gdy telefon chłopaka nagle zawibrował. Wyjął go z kieszeni i odblokował, a następnie odczytał wiadomość. Westchnął cicho i rzucił urządzenie na deskę rozdzielczą.

— Muszę na chwilę spotkać się z moim kumplem — powiedział cicho. Znów wydawał się taki spięty i markotny. Zmarszczyłam brwi, gdy skręcił w jakąś uliczkę. — Pięć minut.

— Spoko, mogę już iść na piechotę — odpowiedziałam, starając się brzmieć pewnie. Wszyscy wiedzieli, w jakim towarzystwie obracał się Parker, i naprawdę nie chciałam tam jechać.

— Wyluzuj, to tylko chwila. Poczekaasz w samochodzie — odparł twardo, jakby żadna inna opcja nie wchodziła w grę.

Zaczęłam się lekko niepokoić przez jego zachowanie. Znów wywoływał we mnie niemiłe emocje, a coś w jego oczach zdradzało, że nie był ucieszony z tego obrotu spraw.

Chwilę później zaparkował przed starym, opuszczonym budynkiem. Moje oczy od razu spoczęły na aucie, które stało niedaleko. Czerwony mustang, po którego karoserii spływały krople deszczu, prezentował się cudownie. Należał do tych ikonicznych starszych modeli, ale był w świetnym stanie. Widać było, że właściciel bardzo o niego dbał. I chyba to właśnie on opierał się o maskę tego cuda. Stał tyłem do nas.

Nie padało już tak mocno, jedynie mżyło, więc miałam na niego dobry widok. Chłopak ubrany w czarne, dopasowane jeansy i tego samego koloru bluzę, której kaptur luźno opadał na jego plecy, wyglądał dość postawnie. Miał szerokie barki, ale był raczej szczupły. Jego ciemnobrązowe włosy były lekko wilgotne i ładnie przystrzyżone. Przez to, że rękawy bluzy podwinął do łokci, widziałam opaloną skórę jego przedramion. Był naprawdę wysoki.

Nawet nie zorientowałam się, kiedy Parker wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Oparłam głowę o zagłówek, ze zdenerwowaniem przełykając ślinę. Obserwowałam, jak podszedł do obcego chłopaka i wymienił z nim uścisk dłoni, klepiąc go przy tym w plecy. Dalej nie widziałam twarzy właściciela mustanga. Nieznajomy ciągle stał tyłem i nie rzucił w moją stronę ani jednego spojrzenia, chociaż byłam niemal pewna, że Luke musiał mu powiedzieć, że nie jest sam. Mitchell wyjął coś z kieszeni, a chwilę później obaj zaczęli palić papierosy.

Zmrużyłam oczy, łapiąc się na tym, że wpatrywałam się w ruch dłoni kumpla Parkera. Fajka tliła się pomiędzy jego palcami. Miał duże dłonie. Za każdym razem, gdy się zaciągał, dym wił się wokół jego głowy, a następnie rozplýwał. Było to dziwnie magnetyzujące. Wciąż nie widziałam nawet jego profilu.

— No nie — mruknęłam, gdy po siedmiu minutach nadal siedziałam w samochodzie.

Przestało padać, a oni nie wyglądali, jakby ich rozmowa miała się szybko zakończyć.

Zarzuciłam torebkę na ramię, wysiadłam z auta i zamknęłam za sobą drzwi. Ten odgłos spowodował, że Mitchell odwrócił się w moją stronę. Drugi chłopak palił już kolejnego papierosa i nawet na mnie nie popatrzył. Zupełnie jakby nie interesowało go to, kto za nim stał. Zignorowałam to i przybrałam nonszalancką postawę, nawiązując kontakt wzrokowy z Parkerem. Nie miałam pojęcia dlaczego i czy to mi się nie przywidziało, ale w tamtej chwili widziałam w jego czekoladowo-złoty tęczówkach jedno. *Przeprosiny*.

— Wielkie dzięki za podwózkę, ale już się przejdę — powiedziałam w końcu, by pozbyć się tych durnych myśli.

— Okej. — Pokiwał głową i odwrócił wzrok, wzruszając ramionami. Zachowywał się dziwnie.

— Jeszcze raz dzięki — mruknęłam i odwróciłam się, aby odejść, gdy nagle rozbrzmiał *ten* głos.

I to właśnie *ten* głos okazał się moim pierwszym *grzechem*.

— Nie wiedziałem, że teraz zabrałeś się za młodsze.

Ciche mruknięcie sprawiło, że zatrzymałam się w miejscu, a po chwili automatycznie odwróciłam się ku chłopakom.

Parker nadal na mnie nie patrzył, ale ja i tak nie zwracałam na niego uwagi. Całą swoją uwagę skupiłam na nieznanym, który wciąż stał tyłem. Bo to właśnie on wypowiedział te słowa. Nie potrafiłam odwrócić wzroku od jego karku, a w głowie cały czas słyszałam echo jego głosu. Był niski i strasznie zachrypnięty. Jakby zdarty od papierosów, krzyków i alkoholu. Tak intrygujący. Chłopak mówił cicho i powoli, przez co każde jego słowo było jak brzytwa. Cholera. Ten głos brzmiał tak przerażająco zimno i pusto, jakby gość właśnie wstał z grobu. Patrzyłam, jak nieznanomy z nonszalancką uniósł rękę i wyrzucił niedopałek, a następnie przydeptał go czarnym butem z ciemnym znaczkiem Nike po boku.

— Tylko ją podwoziłem — odpowiedział cicho Luke.

— Nie wątpię. — Obcy chłopak ponownie się odezwał, a jego ton był jeszcze bardziej ostry.



Jednak to wrażenie zniknęło wtedy, gdy jego ciało drgnęło i powoli odwrócił się w moją stronę. Wtedy zniknęło już wszystko.

Pierwszym, na co zwróciłam uwagę, były jego oczy. Otoczone wachlarzem gęstych rzęs i lekko podkrążone, jakby nie spał od dłuższego czasu. Już to sprawiło, że poczułam mrozącą krew w żyłach niepewność. Ale to te cholerne, jakby śmiercionośne tęczówki były moim ostatecznym zgubieniem. Całe czarne, jak smoła. Nie potrafiłam skupić wzroku na niczym innym. Nigdy nie poznałam człowieka o oczach w tak niespotykanym odcieniu. Jednak to nie ich kolor był najgorszy. Pierwszy raz w życiu widziałam, by ktoś patrzył na kogoś tak, jak w tamtej chwili on spoglądał na mnie. Z tak przerażającym wyrafinowaniem i zimnem. Jego czarne tęczówki były lodowato puste i beznamienne. *Martwe*.

Chłopak nie spuścił ze mnie wzroku nawet na sekundę. Z obojętną miną wpatrywał się w moje oczy, przez co wydawało mi się, że skanuje mnie na każdy możliwy sposób, aby odkryć każdą moją, nawet najmniejszą, tajemnicę. Odniosłam nieprzyjemne wrażenie, jakby po chwili wiedział o mnie zupełnie wszystko. Poczułam nieprzyjemny zimny pot na karku. I gdyby ktoś zapytał, dlaczego wtedy nie odwróciłam głowy i dalej patrzyłam w te oczy, nie byłabym w stanie odpowiedzieć. Chociaż czułam ciarki na całym ciele i z jakiegoś dziwnego powodu nieznajomy wywołał we mnie negatywne emocje, ja wciąż patrzyłam. I czułam się coraz gorzej.

— Wiesz, że takie jak ona nie są zbyt inteligentne — powiedział nagle beznamytnym tonem, odwracając się w stronę Luke'a i tym samym w końcu przerywając nasz kontakt wzrokowy.

W duchu odetchnęłam z ulgą. Poczułam, jakby ktoś w końcu przywrócił mi zdolność oddychania. Jednak chwilę później dotarł do mnie sens jego słów. Zmarszczyłam brwi, spoglądając na jego profil. To było uderzające. Chłopak o lodowatych oczach miał niesamowicie wystające kości policzkowe i bardzo szlachetne rysy. Jego prosty nos miał niemal idealne proporcje, brwi były równe i ciemne, co pasowało do brązowych nieulożonych kosmyków na jego głowie. Linia jego przekłetej szczęki mogłaby ciąć papier. Nigdy nie widziałam kogoś chociażby w niewielkim stopniu podobnego do niego. Wyglądał jak wyrzeźbiony przez Michała Anioła, nie w marmurze, ale w złocie. Nie mógł być żywym człowiekiem. Żaden człowiek tak nie wyglądał. Żaden człowiek tak nie brzmiał. Żaden człowiek tak nie patrzył.

— Takie jak ja, czyli...? — zaczęłam, nawet nie myśląc nad tym, że coś mówię.

W pełni zaabsorbowana chłopakiem i jego wcześniejszymi słowami patrzyłam, jak na jego idealnie skrojone, ale niezbyt pełne blade wargi wkraśl się uśmiech. Nie był to zwykły uśmiech. Och, nie. To był uśmiech, przez który każdy włos zjeżył mi się na głowie i poczułam, jakbym miała za chwilę zwymiotować. Lewy kącik ust chłopaka uniósł się delikatnie ku górze, przez co na jego twarzy wykwitł grymas pełen kpiny, cynizmu i po prostu... zła. Nie uśmiechał się w dobry sposób.

Przelknęłam ślinę i nie ukazując strachu, który osiadł na mnie jak kurz, założyłam ręce na piersi i zacisnęłam szczękę. Patrzyłam, jak nieznajomy, który miał około dwudziestu kilku lat, znów powoli obrócił się w moją stronę, a jego czarne tęczęwki zatrzymały się na moich oczach. I wtedy zaczęłam bać się dużo bardziej. *On nie był kimś dobrym. Był zły. Bardzo zły.*

— Czyżbym cię obraził? — zapytał nagle lekko patetycznym tonem, jakby naśmiewając się ze mnie.

To zbiło mnie z tropu, ale nie dałam tego po sobie poznać.

— To zależy od tego, jak odpowiesz na moje wcześniejsze pytanie — odparłam pewnym siebie głosem, unosząc lekko głowę i patrząc na niego hardym wzrokiem.

Nie miałam pojęcia, skąd brało się we mnie tyle odwagi, ale wiedziałam, że nie mogę się przed nim ugiąć. Nie mogłam się poddać. Czułam na sobie pełen napięcia wzrok Parkera, ale nie skupiłam się na nim. Całą swoją uwagę poświęciłam nieznanomemu. Chłopak, wyraźnie rozba-  
wiony moim zachowaniem, uniósł w lekkim zaskoczeniu brwi, jakby zdzi-  
wiła go moja bojowa postawa.

— Lepiej wróć do domu i nie pakuj się w kłopoty — mruknął nagle i znów odwrócił się w stronę Parkera.

Mitchell, który dotąd w ciszy przysłuchiwał się naszej rozmowie, znów zareagował dziwnie. Przymknął ze spokojem powieki, oddychając z ulgą.

— Takie jak ty nie kończą dobrze w takich miejscach jak te. Chyba że jesteś głupia, a coś mi podpowiada, że tak jest — dodał czarnooki, nie zwracając na mnie uwagi. Jakbym była nieistotnym pyłem. — Dziewczynki z dobrych domów zostają w dobrych domach.

I to był ten pieprzony zapalnik. Nienawidziłam tego określenia. *Dziewczynka z dobrego domu*. Kiedy się z kimś poważnie kłóciłam, zawsze musiał wyciągnąć tę kartę. *Jesteś bogata i dobrze ustawiona w życiu, nie wiesz, co to problemy*. I gdyby tego nie dodał, prawdopodobnie odeszłabym bez słowa i nigdy więcej go nie zobaczyła. Nawet mimo tego, że nazwał mnie głupią. Gdyby tego nie powiedział, ja bym nie odpowiedziała. Wszystko, co nastąpiło później, stało się przez to jedno zdanie.

Nigdy nie byłam osobą nieśmiałą. Owszem, nie lubiłam być w centrum uwagi ani skupiać się tylko na sobie, ale jeśli ktoś zaczynał mnie obrażać bez powodu, nie umiałam stać bezczynnie i nic z tym nie zrobić. A może powinnam była się tego nauczyć. Może czasami lepiej było schować dumę do kieszeni i nie robić nic.

Właśnie. *Może*. Nie znałam go. Nie miałam pojęcia, kim był, ale skoro zadawał się z Lukiem, to coś podpowiadało mi, że nie należał do ludzi, którzy żyją w zgodzie z władzami Culver City. Plus to, z jaką kpinią wypowiadał się o *dziewczynkach z dobrego domu*. Więc nie pomyślałam. Po prostu mówiłam.

— Wow, jesteś taki miły — sarknęłam, układając usta w sztucznym uśmiechu, który zdradzał nieco kpiny.

Chłopak, zdziwiony, że kontynuowałam rozmowę po tym, jak ją skończył, zmarszczył brwi i spojrzał na mnie, jakby nic nie rozumiał.

— Należysz może do jakiegoś młodzieżowego kółka rady miasta? Czy coś w tym stylu? Bo z tym debilnym myśleniem i zajebistym kompleksem niższości, przez który oceniasz ludzi, mimo że ich nie znasz, świetnie byś się tam nadawał. Więc jeśli będziesz kandydował na przewodniczącego, to masz mój głos.

Po moich słowach wszystko działało się jakby w spowolnionym tempie. Luke przymknął powieki, prawdopodobnie modląc się w duchu, by cofnąć czas. Przynajmniej tak wyglądał. Nieznajomy za to nie powiedział niczego. Po prostu stał i patrzył na mnie z przerażająco zimną miną, a jego spojrzenie wbijało się w moje serce i mózg. I chociaż nie pokazywałam tego, jak bardzo byłam przestraszona, w tamtej chwili zaczęłam żałować swoich słów i tego, że wcześniej nie uciekłam. Wyglądał jak posąg. Nie wiedziałam nawet, czy oddychał. Tylko patrzył, a ja zrozumiałam, że trafiłam w czułe miejsce.

— Ale co ja tam wiem. Jestem tylko głupią dziewczynką z dobrego domu — dodałam, dając sobie mentalnie w twarz za to, że nie potrafiłam się zamknąć. Uniosłam dumnie głowę, obserwując z *wyższością* milczącego chłopaka. Skoro on oceniał mnie, ja mogłam ocenić jego. A był *nikim*. — Coś jeszcze?

— Victorio, idź już — wyszeptał załamany Mitchell i chyba pierwszy raz widziałam go tak niepewnego. I to powinno być jasnym znakiem.

— Czytałaś kiedyś *Fausta* Goethego? — zapytał nagle obojętnym tonem nieznanym, co znowu mnie zdziwiło. Znow zadał bezsensowne pytanie. Boże, był taki dziwny.

— Nie — odburknęłam zgodnie z prawdą, na co uniósł złowieszczą kącik ust, a ja ponownie poczułam ciarki na całym ciele.

— W tej książce Faust podpisuje cyrograf z diabłem. To wyrok — niemal wyszeptał, a jego głos był jak oko cyklonu. Dookoła szalał huragan, panował chaos i nieład. A w środku było cicho i pusto. Jego głos taki był. Cichy i pusty pośrodku bełzadu. — Właśnie to zrobiłaś, *Victoria*.

Moje imię w jego ustach brzmiało złowrogo. Było jak śmierć w rajcu.

— Victorio, idź w tej chwili — warknął Luke, a ja nie miałam zamiaru się spierać. Szybko odwróciłam się, wciąż czując wzrok chłopaka na swoich plecach. — Daj spokój, Nate — mruknął znacznie ciszej, co sprawiło, że moje serce gwałtownie się zatrzymało.

*Nate*. Nie. To nie mogła być prawda. Nie, nie, nie. Poczułam, jak moje nogi zaczęły się trząść, a mój żołądek gwałtownie się ścisnął, więc jak najszybciej skierowałam się do wyjścia z uliczki. Dopiero po kilkunastu sekundach pozbyłam się tego ciężkiego spojrzenia ze swojej głowy, ale i tak nie odetchnęłam. Zaczęłam kierować się w stronę domu. Wydawało mi się, że ktoś umieścił stutonowy kamień na moich płucach. Trudno było mi oddychać. Moje ręce trzęsły się, a gula w gardle wciąż rosła. To na pewno nie był Nathaniel Shey. Nie. To był inny Nate.

Drogę do domu pokonałam prawie biegiem, kilkakrotnie wpadając w kałuże po ulewie. Gdy byłam już na swoim osiedlu, drżącą ręką wyciągnęłam telefon z kieszeni spodni. Szybko wybrałam numer Mii i czekałam, aż odbierze. Nerwowo otworzyłam drzwi domu kluczem, który wyciągnęłam z torebki.

— Czego? — zapytała, a jej głos był zniekształcony przez jedzenie, które spożywała.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi. Rzuciłam torebkę na szafkę i w biegu ściągnęłam mokre buty.

— Musimy pogadać. Już — odparłam na wydechu, rozłączając się.

W domu nikogo nie było. Jedynie Kot, który usłyszał hałas, podbiegł do mnie ze swojego miejsca pod kominkiem. Otarł się o moje nogi, merdając ogonem, ale ja byłam zbyt nabuzowana, więc szybko popędziłam do siebie, o mało nie zabijając się na schodach. Wpadłam jak burza do swojej sypialni. Szybko zalogowałam się na swoim laptopie, który stał na biurku. Prawie od razu wyświetliło mi się okienko Skype'a, powiadamiające, że dzwoniła Mia. Nacisnęłam zieloną słuchawkę i zasapana usiadłam na krześle.

— Co jest? — zapytała.

Siedziała na łóżku, jedząc ramen. Zaraz za nią leżał Chris, który przeglądał coś na swoim telefonie.

— Ogarniasz, jak wygląda Nate Shey? — wyrzuciłam z siebie, przez co przestała jeść i posłała mi zdziwione spojrzenie.

Chris też przestał skupiać uwagę na iPhone i popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami, prostując się.

— Po co ci to? — zaczęła z rezerwą, odkładając swoje jedzenie, aby maksymalnie skoncentrować się na rozmowie.

Oboje wyglądali na lekko przejętych moim zachowaniem.

— Po prostu powiedz. Ty bardziej ogarniasz te wszystkie osoby — wymamrotałam.

Mia miała wielu znajomych spoza szkoły. Często imprezowała w różnych ciekawych miejscach, i tak, przeważnie byłam tam wtedy z nią, ale miałam cholerny problem z zapamiętywaniem twarzy. Czasami musiałam się sporo nagłowić, by przypomnieć sobie, jak wyglądały niektóre osoby z mojego rocznika. Mia na pewno kojarzyła Sheya. A nawet jeśli go nie widziała, to zapewne słyszała plotki, jako plotkara numer jeden w Culver High School. Musiała po prostu powiedzieć mi, że to nie był on. To nie on.

— Ehm, tak. Widziałam go niedawno na jakiejś imprezie w tym nowym klubie DEATH — mruknęła, starając się sobie przypomnieć. — Ale był daleko i z wieloma ludźmi. Pamiętam, że był bardzo wysoki. Coś około sześciu stóp. Dobrze zbudowany. Ma chyba brązowe włosy

i ciemne oczy, z tego, co pamiętam. Kurewsko gorący. I zadaje się z Parkerem. Ludzie mówią, że jest jego dobrym przyjacielem.

— Och, kurwa — jęknęłam, uderzając głową z niemałą siłą w blat biurka. — Popeniłam wielki błąd — wyszeptalam, kiedy powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłam.

Po swoich słowach usłyszałam szmer, a następne, co zobaczyłam na ekranie, to dziurki w nosie Chrisa.

— Wciągałaś kreski z Albańczykami w Nowy Rok na Times Square? — zapytał śmiertelnie poważnie, przez co zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego jak na kretyna.

— Nie.

— To ty nie wiesz, co jest poważnym błędem — odrzekł, na co Mia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Kiedy, do cholery, to zrobiłeś? — pociągnęła watek. — I skąd znasz Albańczyków?

— To były mroczne czasy — wyszeptał z dramaturgią, patrząc pusto w jeden punkt, na co Roberts przewróciła oczami i popchnęła go z powrotem na łóżko. Ponownie skupiła się na mnie.

— Mów, co się stało.

— Cóż, nazwał mnie głupią dziewczynką z dobrego domu, więc może powiedziałam mu, że ma zajebisty kompleks niższości i z tym debilnym zachowaniem powinien startować na przewodniczącego młodzieżowego klubu rady miasta — wymamrotałam i kiedy ta sytuacja znów pojawiła się w mojej głowie, mój żołądek niemal eksplodował.

Zapanowała chwilowa cisza, podczas której skubałam kant swojego biurka, mając nadzieję, że oni zaraz coś wymyślą. Albo się zaśmieją i powiedzą, że nic się nie stało. Naprawdę strasznie na to liczyłam, jednak gdy po kolejnych dziesięciu sekundach cisza wciąż trwała, niepewnie uniosłam wzrok na swoich przyjaciół, którzy patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Szczeka Chrisa leżała niemalże na podłodze. Tak jak moje życie.

— Vic... — zaczęła Mia, ale urwała, bo nie wiedziała, co ma powiedzieć. Chris za to wiedział, bo elokwentnie dokończył:

— Jesteś w dupie.

Byłam, ponieważ osobą, którą tak koncertowo obraziłam, był Nathaniel Shey. Nathaniel pieprzony Shey, który był bardzo znany w naszym

liceum i w całym cholernym Culver City. I niestety nie z tego, że był cudownym człowiekiem.

Każde miasto miało swój znak rozpoznawczy. Zazwyczaj było to coś dobrego, czym można było się szcycić w gazetach. Największa plantacja pomidorów, jedyne w stanie zoo z zagrożonymi gatunkami czy coroczny konkurs na najlepsze leczo. Ale takim znakiem rozpoznawczym mogły być też przedsięwzięcia, o których nikt nie chciał mówić głośno i z którymi walczyli wysoko postawieni ludzie. I takie coś było również w Culver City. Pieprzony znak rozpoznawczy tego zapyziałego miasta sprowadzony do podziemi. Nielegalne walki. Cholerne nielegalne walki bokserские, którymi to główniane miasto żyło bardziej niż czymkolwiek innym. I jednym z czołowych zawodników był nie kto inny jak Nathaniel pieprzony Shey.

Obraziłam chłopaka, który był jednym z najlepszych, a być może najlepszym. Chłopaka, którego znali z opowieści wszyscy, nawet jeśli go nie widzieli. Tak jak ja. Chłopaka, którego nie cierpiała policja i każdy, kto żył zgodnie z prawem. Bójki, gliny, wandalizm i zero hamulców.

Zdecydowanie nie powinnam była wsiadać do samochodu Parkera.





# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

## Wznieciliśmy ogień, nad którym nie byliśmy w stanie zapanować

Victoria Joseline Clark nigdy nie należała do szczególnie rozważnych dziewczyn, choć nie można jej było zarzucić braku inteligencji. Przez siedemnaście lat swojego życia uważała się za osobę przeciętną i taką również prowadziła egzystencję. Nauka w renomowanym liceum, wieczne kłótnie z irytującym bratem bliźniakiem, częste imprezy z przyjaciółmi, rodzinne kolacje w towarzystwie troskliwej matki i wiernego psa stanowiły jej codzienność. Jej rodzice mieli jeden cel: wychować swoje dzieci na porządnym obywateli. Victorii od małego wpajano żelazne zasady, których ślepo przestrzegała, przekonana, że uchronią ją przed problemami, o których opowiadała jej matka. Niestety, dziewczyny nie przygotowano na to, że jej największym utrapieniem może się okazać wysoki chłopak z martwym spojrzeniem i zimnym uśmiechem. Wystarczyło kilka źle dobranych słów i obecność w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze, aby zapoczątkować walkę, na którą nie była gotowa. Wszystko wymknęło się spod kontroli, gdy ten czarnooki, zblazowany chłopak okazał się faworytem nielegalnych pojedynków bokserskich, których od lat nienawidziła jej matka — prawa ręka burmistrza miasta i oddana przyjaciółka funkcjonariuszy policji.

Victoria najchętniej cofnęłaby czas. Ilekroć spoglądała w czarne jak noc oczy, błagała w myślach, aby nigdy ich nie zobaczyć. On był problemem, którego nie potrafiła rozwiązać. Chaosem, który nadszedł. Mrokiem, do którego lgnęła. Ósmym grzechem głównym, który chciała popełnić. Błagała o rozgrzeszenie, które nie nadchodziło. Bo oboje byli zbyt wielkimi grzesznikami.

Czy zdobędziesz się na odwagę, aby otworzyć oczy?

Patroni medialni:

